Malcolm Jameson

Przełamanie blokady

(Bullard 3)

(Blockade Runner)

Astounding Science-Fiction, October 1940
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

— **P**ojawił się statek!

Gdy zabrzęczał alarm, sternik Red Leary popatrzył uważnie na pulsujące rubinowe światło alarmu zbliżeniowego, zanotował w pamięci namiar, a następnie położył dłoń na zaworze przepustnicy silników rakietowych. Popatrzył wyczekująco na kapitana.

— Czekaj — ostrzegł ten ostatni, — dopóki nas nie wywołają. Sparks! Czy twój pulpit jest obsadzony?

— Aye, panie kapitanie.

— Rebeliancki krążownik zbliża się z lewej burty. Wywoła nas za minutę. Nie ryzykuj rozmowy z nim – trzymaj się kodów. Po prostu trochę się boję o twój dialekt. Jedno potknięcie i po nas.

Wywołanie nadeszło niemal natychmiast, ostre i natarczywe. Najpierw było to QF, QF, QF, a tuż za nimi nadeszło bezwzględne BWB – „Jaki statek?" „Zmniejszyć prędkość, aby przyjąć grupę abordażową".

— Pełny ciąg hamowania — rozkazał Bullard[1]. — Sparks, przekaż im OK.

Ręka Reda poruszyła się. *Cloud Queen* zadygotała, po czym zatoczyła się do tyłu, gdy zredukowała przyśpieszenie. Trzej mężczyźni popatrzyli po sobie. Nadeszła chwila prawdy; co najwyżej za pół godziny będą już wiedzieli. Ich wyszukana przykrywka miała zostać poddana próbie. Otrzymają odpowiedzi na wiele pytań. Czy podzielą nieznany los czternastu statków, które ich poprzedzały; czy blokada marsjańsko-jowiszowa była naprawdę nie do przełamania; czy będą żyli, czy umrą; czy naprawdę Imperium Ziemi pozostały jakieś szanse na życie lub śmierć. Red z trudem przełknął ślinę, podczas gdy Sparks nerwowo zwilżył usta językiem.

Bullard, kapitan, jeszcze raz krytycznie przyglądał się pomieszczeniu, czujnie wypatrując każdej wcześniej nie zauważonej rzeczy, która mogłaby wzbudzić podejrzenia. Nic nie znalazłszy, odprężył się. Scena była przygotowana – od tej chwili muszą na niej grać.

Nikt, kto wcześniej znał Johna Bullarda, zaradnego i zadbanego kapitana Telluriańskich[2] Sił Kosmicznych, nie rozpoznałby go w człowieku, jaki się w tej chwili przed nim jawił. Twarz miał prawie pokrytą świeżo wyrosłą, dziką czarną brodą, którą eksperci z działu chromochirurgii Wywiadu zręcznie przyprószyli siwymi nitkami. Co pasowało do równie sztucznej siwizny jego skroni. Głęboka opalenizna, ogorzałego przez promieniowanie człowieka kosmosu, nie była syntetyczna, ale jakoś wydawała się korelować z jego wytartym, starym mundurem zdobionym poszarpaną zielonkawo-złotą lamówką. W każdym szczególe wyglądał na

---

[1] W oryginalnym wydaniu w „Astounding", bohaterem opowiadania jest Jack Kemp. Dla potrzeb wydania książkowego, zmieniony on został na Johna Bullarda. Podobna zmiana dokonana została w tym tekście (przyp. tłum.).

[2] Czyli, po prostu, Ziemskich – przymiotnik utworzony od rzymskiej bogini Tellus – Ziemi, odpowiedniczki greckiej Gai (przyp. tłum.).

tego, za kogo się podawał – na nieco obszarpanego szypra drugorzędnego statku z Wenus. Załoga była również podobnie zamaskowana, tak samo jak oznaczenia Sił Kosmicznych.

Jeśli chodzi o statek, to nikt, nawet ktoś zaznajomiony z doskonale wyposażonymi, komfortowymi statkami Cosmos Line, nie odgadłby, że ten obskurny statek to w rzeczywistości *Violet*, dobrze znany przed wojną z trasy na Saturna. Jego metamorfoza była równie dogłębna jak w przypadku znajdujących się na jego pokładzie ludzi, dzięki twórczej wyobraźni i dobrej pamięci tuzina agentów w kwaterze głównej na Lunie.

Nie przeoczono żadnego szczegółu kadłuba, wyposażenia ani ładunku. Oprawiony w ramki dokument rejestrowy, przykręcony do grodzi w kabinie, był pomięty i poplamiony brzydkimi brązowymi zaciekami po wodzie, jakby jakiś niedbały marynarz zostawił otwarty właz śluzy, kiedy statek spoczywał w parnej atmosferze swojego macierzystego portu. Kwatery załogi zostały udekorowane osobistymi zdjęciami ponętnych kobiet, wykonanymi na fantastycznym tle wenusjańskiego krajobrazu. Wszyscy ludzie na pokładzie mieli nie tylko doskonale podrobione licencje i paszporty, ale także osobistą korespondencję pisaną różnym pismem, na odpornym na wilgoć wenusjańskim papierze i opatrzoną odpowiednimi stemplami i datownikami pocztowymi. Na zewnątrz, przyczepione do każdej nieregularności kadłuba, widniały płaty wytrzymałego wenusjańskiego mchu, który rozrasta się nawet w kosmicznej próżni, zasadzonego tam przez sprytnego technika z wielkiego międzyplanetarnego ogrodu botanicznego w Londynie. I, oczywiście, na kadłubie tuż nad dziobem statku przynitowany został nieunikniony półcylinder, mieszczący reflektor podczerwieni, dzięki któremu kapitan mógł przez pokrywy mgieł znaleźć drogę na dół, na lądowisko Portu Afrodyty. Jeśli gdziekolwiek pośród tego całego artyzmu, znalazła się jakaś drobna skaza, nie wynikała ona z braku przewidywania lub niedbałości.

Lekkie drżenie oznajmiło podejście krążownika do ich burty. Bullard nacisnął przełącznik, który włączył światła w śluzie, i zwolnił blokadę zewnętrznych wrót. Następnie sięgnął do góry dłonią i wyciągnął z mocowania blaster Mark IX Heimlitz – model sportowy. Wsunął go do kabury i ruszył korytarzem, aby powitać przeciwnika.

Szczęk zewnętrznych wrót i syk powietrza powiedział mu, że grupa pokładowa jest już w śluzie. Po chwili wewnętrzne wrota otworzyły się z hukiem i wyłonił się z nich ponury oficer, a tuż za nim dwie niebieskie kurtki z wyciągniętymi karabinami energetycznymi, najnowszego ciężkiego typu. Już na pierwszy rzut oka Bullard zorientował się, że to Kallistianie, po srebrnych rombach wyhaftowanych na ich mundurach. Tylko Kallistianie nosili takie oznaczenia. Na początku, kiedy Kallisto była telluriańską kolonią karną, w ich ubrania wszywano romby jako stygmaty przestępców. Jednak rasa ta była tak bezwstydna, że po uzyskaniu niepodległości, dziesięć lat temu, przyjęli romb jako swoje narodowe godło, a potem obnosili się z nimi otwarcie po całym układzie.

— Wszystko się posypało — stwierdził krótko Kallistianin, wchodząc na pokład. Bez ceremonii wyrwał miotacz z pasa Bullarda i podał go jednemu ze swoich ludzi. — Zostawmy sobie te sceny na później — dodał pogardliwie, gdy Bullard odskoczył do tyłu, okazując oburzone zdumienie. Potem odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę sterówki. Bullard, szedł za nim milczący i pełen niepokoju. Z tym dowódcą grupy pokładowej nie będzie łatwo.

— Świetna robota z tym kamuflażem — skomentował Kallistianin, po szybkiej inspekcji pomieszczenia sterówki. — Gdybyście spreparowali w ten sposób wasze pierwsze statki, mogłoby się któremuś z nich udać. — Zmierzył bezczelnie Bullarda wzrokiem, a potem stwierdził: — No dobra, stary. Zacznij teraz tę swoją śpiewkę – słucham. Strasznie się tu wynudziliśmy czekając na was i potrzebujemy trochę rozrywki. Ten numer z niewinnym wenusjańskim kupcem, który po prostu próbuje się dogadać ze Wszechświatem, jest już mocno zgrany. Ale nie przejmuj się, dawaj. Tylko zrób to krótko i treściwie, ponieważ i tak znam już odpowiedź.

Bullard wzruszył ramionami i rozłożył ręce w geście bezradności. Jak dotąd Kallistianin blefował i Bullard o tym wiedział.

— Co mogę jeszcze panu powiedzieć? Ale proszę nas sprawdzić – nasze papiery – nasz ładunek – wszystko cokolwiek pan sobie życzy, jeśli ma pan co do nas wątpliwości.

— Wątpliwości? — ryknął serdecznym śmiechem wielki Kallistianin. — Szanowny panie, jakakolwiek tam jest pańska ranga, Telluriańskich Sił Kosmicznych, ja nie mam co do was żadnych wątpliwości. Jest parę rzeczy, których o panu nie wiem – na przykład, jak naprawdę się pan nazywa – ale w kopalniach to nie ma znaczenia. I tak nadadzą tam panu numer.

Rozpoczął swoje poszukanie metodycznie, niczego nie pomijając, choćby był to największy drobiazg. Przekartkował dziennik okrętowy, zerknął na tabliczki znamionowe producentów na każdym skrawku wyposażenia astrogacyjnego, zdrapał odporną na pleśń farbę, żeby zobaczyć, co jest pod nią, i wąchał badawczo powietrze. Dzięki wciąż unoszącym się oparom huil-huil, miało ono przenikliwy wenusjański aromat. Zerknął na duży słoik pokruszonych, wysuszonych liści huil-huil stojący na biurku radiowca. Nie więcej niż garstka ziela, tak cenionego przez podróżujących przez kosmos Wenusjan, zniknęła ze słoika – nie więcej niż pół tuzina ludzi mogło je zapalić w ciągu mniej więcej dnia, odkąd *Cloud Queen*, jak twierdzili, uciekła z internowania w Bazie Luna.

Płaska, brutalna twarz rozjaśniła się radością „a-nie-mówiłem-wam", gdy wskazał triumfalnie na prawie pełen słoik.

— Pusty mógłby mnie oszukać — niemalże wykrzyknął, — ale teraz widziałem już wszystko, co chciałem zobaczyć. Zawsze przesadzacie z tym waszym kamuflażem. Posłuchaj, ty głupcze – byliście internowani na Lunie, gdzie nie można dostać tego ziela – mówiłeś, że przez rok – zamknięci przez cały czas na swoim statku. A potem, dwa dni temu, wyciągacie chyba z kapelusza magika, śliczny, pełny jego słoiczek. Pytam cię. Jak to się trzyma kupy?

Bullard uśmiechnął się cierpliwie, pozwalając skrupulatnie by przez brodę ukazały się pożółkłe zęby.

— Mój drogi przyjacielu, jest pan zbytnio podejrzliwy. Mamy go całe tony. W ładowni znajdzie pan dziesięć tysięcy funtów. Proszę spojrzeć na manifest; to część naszego ładunku skierowanego do pańskiego kraju, na Ganimedesa. To prawda zużyliśmy kilkaset funtów na własny użytek, rzecz, którą będziemy musieli załatwić z odbiorcą, ale nasze prawo zezwala nam na skorzystanie z ładunku w nagłych wypadkach, a schwytanie przez tych przeklętych Ziemian, to chyba jest nagły wypadek.

Kallistianin wyglądał trochę powątpiewająco, ale wziął manifest i faktury. Przejrzał je i udał się na wycieczkę po statku. Przez godzinę wałęsał się po ładowniach, ale nigdzie nie zdołał znaleźć żadnych nieprawidłowości. Były wypełnione produktami z Wenus, wszelkiego rodzaju przedmiotami powszechnego handlu z satelitami Jowisza. Nie mógł też znaleźć żadnych śladów ukrytego uzbrojenia. Ewidentnie nie był to statek-pułapka, jak pokazał szybki rzut oka na maszynownię. Były w niej tylko zwykłe pomocnicze urządzenia generatorów. Statek nie mógł zostać przekształcony w korsarski raider.

Po powrocie do sterówki oficer dowodzący grupą pokładową zrezygnował ze swej kpiącej, zastraszającej miny i znacznie uprzejmiej słuchał historii Bullarda, chociaż było jasne, że z niechęcią wypuściłby statek i pozwolił mu na dokończenie rejsu.

Bullard mówił dalej, opowiadając o swoim pechu, który dopadł go w pierwszym tygodniu wojny, o trudach internowania, o żałosnej nieudolności telluriańskiej floty i miernocie jej oficerów, a także o ogólnym stanie rozpaczy panującym na Księżycu. Wiele czasu poświęcił również faktowi, że skutecznie oparł się wszelkim próbom zabrania ładunku ze swego statku i wykorzystania go, na tej podstawie, że byłoby to pogwałcenie neutralności Wenus i mogłoby ją skłonić do wojny po przeciwnej stronie.

Kallistianin zmarszczył brwi, najwyraźniej w rozterce. Nadal nie był do końca przekonany. Nie odkrył niczego, co byłoby niewiarygodne, ale też wszystko co widział mogło zostać spreparowane. Nie miał zamiaru podejmować ryzyka, że pryz przecieknie mu przez palce. Wiedział jednak, że Wenus jest przeciwna tej przedłużającej się wojnie i szuka wymówki, by połatać swoje stosunki z macierzystą planetą i przyjść jej z pomocą. Bullard wyczuł jego wahanie i prawie niezauważalnym drgnięciem powieki przekazał sygnał Redowi Leary'emu. Nadszedł czas, aby zagrać ich atutem.

Piegowata dłoń Reda zakradła się za jego plecy i zaczęła szukać przycisku. Za trzecim razem udało mu się otworzyć zatrzask małej szafki, w której zwykle trzymano mapy gwiezdne. Bullard mówił dalej, błagając teraz o pozwolenie na udanie się do celu.

— Niech to wszyscy diabli! — wrzasnął Kallistianin, gorączkowo podskakując. Do jego dziko wierzgającej łydki przylgnęło coś paskudnie obszarpanego i brudnobiałego.

— Bardzo przepraszam — zawołał Bullard żałośnie i z konsternacją, po czym rzucił się w środek zamieszania. Przez chwilę zajęty był uchylaniem się przed przelatującymi kolanami oficera grupy pokładowej, ale po jednym lub dwóch niecelnych chwytach, wstał ściskając za kark dziwne i cuchnące zwierzę. — Powinienem pana ostrzec przed Flo-Flo. Ona nie lubi obcych.

Stworzenie to było w pełni wyrośniętym myszoskoczkiem, jednym z tych upierzonych gryzoni, charakterystycznych dla Wenus. Z jakiegoś powodu, którego nie byli w stanie zgłębić pozostali mieszkańcy Układu Słonecznego – być może na skutek swych ślepych przesądów – ludzie z Wenus kochali te bestie. Żaden statek stamtąd nigdy nie ruszał w kosmos bez nich jako maskotek. Pomimo że śmierdziały one, kradły oraz szczypały zarówno przyjaciół jak i wrogów ostrymi długimi zębami, i miały inne nawyki, które, delikatnie mówiąc, nie były zbyt miłe. Prawdę mówiąc, niechęć do nich wśród większości Ziemian była tak silna, że kiedy rekwirowano Flo-Flo, musiano przeczesać wszystkie ogrody zoologiczne na Ziemi, zanim zdołano ją zlokalizować.

Kallistianin przez długi czas płonął ogniem po tym, jak wystrzałem z blastera pozbawił życia nieszczęsnego zwierzaka, ale gdy jego przekleństwa ucichły, było dosyć oczywiste, że wszelkie utrzymujące się wątpliwości, jakie mógłby jeszcze mieć co do autentyczności *Cloud Queen*, zostały rozwiane. Z prychnięciem podszedł do stojaka na mapy, zapisał informację o swojej inspekcji w dzienniku i potwierdził ją. Potem rzucił się do korytarza, skinąwszy na swoich dwóch ludzi, by poszli za nim.

— Zabierz stąd tę śmierdzącą skorupę. Skończyłem z wami — powiedział, kiedy zamykały się za nim wrota śluzy.

— Aye, aye, proszę pana. Dziękuję, proszę pana. — Bullard czuł, że stać go na odrobinę uprzejmości. Przedostał się; a w dłoniach trzymał nabazgrane memorandum z właściwymi odzewami na wezwania okrętów nieprzyjaciela, w czasie następnych trzech tygodni – był to czas potrzebny na dotarcie do Ganimedesa. Kallistianin dał mu nawet sygnały rozpoznawcze, aby przyspieszyć jego podróż, tak bardzo był przekonany, że ma do czynienia z prawdziwym Wenusjaninem.

— **N**o cóż — stwierdził Bullard, ponownie uruchamiając silniki, — to wszystko. Pozostało nam już tylko wyruszyć prosto na Oberona, spreparować nowy zestaw papierów, przehandlować ten towar na to, co chcemy, a potem wracać z powrotem do wnętrza układu.

— Myślę, że to ostatnie może być trochę trudne — zauważył Red.

— Trudne? — dorzucił swoje Sparks. — Do diabła, niemal niemożliwe, jak ja bym to określił.

— Dopóki tylko „niemal", wszystko z nami w porządku — odparł wesoło Bullard. — Dorzuć jeszcze jedno g, Red. Wytrzymamy to.

Jeszcze trzykrotnie, zanim wydostali się poza ostatnie asteroidy, byli wywoływani przez patrolujące krążowniki, ale dzięki znajomości odzewów, a także powszechnemu przekonaniu, że blokada Ziemi jest nie do przełamania, nie byli zatrzymywani i ponownie przeszukiwani. Bullard miał czas na zastanowienie się nad kolejnymi krokami.

Im dłużej rozmyślał nad powierzonym mu olbrzymim zadaniem, tym bardziej uderzała go ironia sytuacji. Ziemia, pani pozostałości po rozległym imperium telluriańskim, stukrotnie liczniej zaludniona i bogatsza niż wszystkie inne ludy Układu Słonecznego razem wzięte, była bezradna wobec potęgi dwóch swych niegdysiejszych kolonii. Nie miały one ludzi i środków do inwazji na macierzystą planetę, ale mogły i udało im się, odciąć ją od wszystkich tras komunikacyjnych w kosmos. Ich strategia była prosta. Blokując w miejscu telluriańską flotę, mogły zniszczyć pozostałe kolonie Ziemi – układ Saturna i to, co leżało poza nim. Potem kontrolowałyby jedyne znane źródło paliwa, od którego uzależniła się cywilizacja. Ziemia musiałaby wtedy płacić ogromne pieniądze, ponieważ ultra-potężny Eka-Uran był tylko na Oberonie.

Ten nienormalny stan rzeczy stał się możliwy na skutek słabej polityki oszczędności, prowadzonej przez wielką radę po zwycięskiej Wojnie z Rebelią, dziesięć lat wcześniej. Po przyznaniu wolności trzem zbuntowanym planetom i podpisaniu z nimi wieczystych traktatów o przyjaźni, Ziemia pozwoliła swej flocie popaść w zniszczenie, aż zmieniła się ona zaledwie w zwykły patrol celny. Z drugiej strony koloniści, rozgoryczeni wieloletnimi złymi rządami, chcieli czegoś więcej niż niepodległości – chcieli zemsty. Dlatego od razu zaczęli budować okręty na wielką skalę, ale potajemnie. A kiedy te floty stały się wystarczająco silne, zaatakowały. Ziemia, całkowicie nieprzygotowana, nie mogła kontratakować.

Budowano gorączkowo okręty, próbując nadrobić błąd braku przygotowania. Wszystkie stocznie kosmiczne na planecie pracowały dzień i noc, konstruując statki. Wkrótce, z każdym tygodniem zaczęły pojawiać się nowe, eleganckie jednostki, najeżone najnowocześniejszym uzbrojeniem, wykonujące krótki skok na Lunę, gdzie otrzymywały załogi i dołączały do szybko rozwijającej się floty. W ciągu kilku miesięcy prawie dorównała ona eskadrze blokującej. Jeszcze kilka miesięcy i osiągną cel. I wtedy zszokowany świat poznał straszliwą prawdę – dla tak ogromnej floty, nie było paliwa. Pacyfistyczna i nieudolna rada nie przewidziała tej ewentualności i nie zapewniła żadnych rezerw. Paliwa starczało tylko na jeden start, i to koniecznie krótkotrwały. To, co pozostało, trzeba było zachować na wypadek sytuacji kryzysowych – takich jak nagłe niszczycielskie naloty na same wielkie miasta Ziemi. W tym tkwiła ironia sytuacji. Blokada uniemożliwiała dostawy paliwa, dzięki któremu blokadę można by łatwo złamać. Mając paliwo, Ziemia mogłaby zdobyć całe dostępne paliwo; bez niego będzie musiała wkrótce skapitulować, gdyż

było ono potrzebne także do celów cywilnych. Już teraz było wiele cierpienia.

Statek za statkiem podejmował próbę, stosując wszelkiego rodzaju, podstępy i sztuczki. Żaden nie wrócił. Bullardowi pozwolono podjąć ostatnią próbę. Jeśli powróci w wyznaczonym czasie, wojna będzie wygrana; jeśli nie, oznaczać to będzie kapitulację.

Wybór przebrania i planu, pozostawiono jemu. Wybrał najprostszy ze wszystkich – zwykły statek handlowy, bez żadnych ukrytych możliwości. Miał wrażenie, że pozostali zostali zdemaskowani przez swoje potajemne uzbrojenie i dlatego postanowił nie zabierać żadnego. Bez względu na to, jak sprytnie ukryta, broń – odpowiednio potężna – nie mogła umknąć uwagi przy naprawdę dokładnym przeszukaniu. Trzeba to było zrobić podstępem a nie siłą, i w tym kierunku dokładał wszelkich starań, wiedząc, że sukces lub porażka może zależeć od jakiegoś drobnego szczegółu.

Po minięciu blokujących krążowników stanął przed kolejnym krokiem – koniecznością nabycia na Oberonie tysiąca ton Eka-Uranu. Wkrótce dowiedział się, nasłuchując wrogiego radia, że Oberon upadł już dawno temu i był obsadzony przez ekspedycję z Marsa. Dokumenty *Cloud Queen* trzeba było zmienić, aby oparły się kolejnemu śledztwu nieprzyjaciela, wszystkie wzmianki o fikcyjnym pobycie na Lunie musiały zostać usunięte, a miejsce docelowe lotu zmienione. Kiedy skończył swoją pracę, dokumenty wskazywały, że statek wyruszył prosto z Wenus i skierował się na zewnętrzne planety bez ładunku. Jego kapitan był upoważniony do swobodnego handlu, a następnie powrotu. Zadbał też o to, aby strona z adnotacją oficera grupy pokładowej pozostała w rejestrach. Pokazywała ona, że statek został poddany inspekcji i przeszedł kontrolę przez oficera marynarki.

W Spriteburgu wszystko poszło gładko. Na tej odosobnionej planecie jak najbardziej mile widziano ładunek produktów z Wenus i nikt nie zadawał kłopotliwych pytań. Poza targowaniem się o ceny i sporymi ilościami dobrze symulowanego oburzenia z powodu notowań międzyplanetarnego kursu wymiany, nie wymagało to od Bullarda zbyt wielkiego wysiłku. Drugiego dnia po południu, po wyładowaniu cargo, przemknął *Cloud Queen* ponad Pasmem Elfów i usiadł nią na stanowisku do lądowania, koło kopalni. Dwadzieścia cztery ziemskie godziny później, statek był pełen cennego Eka-Uranu. Miał na pokładzie tysiąc ton – wystarczająco dużo, by zatankować całą nową telluriańską flotę do pełna, a nawet trochę na zapas.

Dopiero gdy połączył się z biurem kapitanatu portu aby otrzymać dokumenty wylotowe, nabrał wrażenia, że zbliżają się kłopoty. W dniu przylotu miał do czynienia z zastępcą, ale teraz było inaczej. Siedział tam człowiek, którego gdzieś już wcześniej widział. Po chwili rozpoznał go. W czasie, gdy cztery lata wcześniej uczestniczył w patrolu okołosłonecznym, kapitan portu przebywał na Wenus jako konsul generalny Marsa. W

związku z tym można się było spodziewać, że będzie dość dobrze zaznajomiony z żeglugą wenusjańską. Bullard był wdzięczny za swą brodę i siwe włosy, bo kilkakrotnie jadł z nim kolację.

Kapitan portu bez słowa podpisał dokumenty. Podając je Bullardowi przez biurko, powiedział prywatnie.

— Jak widzę, pańskimi armatorami są Turnly & Hightower. Proszę pozdrowić ode mnie pana Turnly'ego, gdy znów pan będzie na Wenus. A tak przy okazji, co tam słychać u starego obwiesia? Ktoś mi mówił, że ostatnio nie czuł się dobrze.

— Och, jakoś się trzyma — zaśmiał się Bullard, chowając do kieszeni dokumenty i wręczony mu „Podręcznik zachowania się statków neutralnych”. Starał się udawać obojętność, chociaż jego uczucia były dalekie od tego. Podczas swych studiów w związku z przygotowaniem *Cloud Queen*, nie udało mu się zdobyć zbyt wielu informacji na temat jej fikcyjnych właścicieli. Na statku znajdowało się zdjęcie przedstawiające pana Hightowera przy drzwiach wejściowych biura, w otoczeniu personelu biurowego, ale co do starszego wspólnika, Bullard nie zdołał niczego się dowiedzieć. To było najsłabsze ogniwo w jego przykrywce i miał żarliwą nadzieję, że rozmowa potoczy się w innym kierunku.

— A więc, jakoś się trzyma — mruknął leniwie kapitan portu, bębniąc cicho w biurko pulchnymi białymi palcami. — Hm-m-m. Naprawdę niesamowite. — Przez chwilę przyglądał się Bullardowi w zamyśleniu, a potem nagle, jakby wyrwany z jakichś głębokich marzeń na jawie, wstał i uścisnął mu dłoń. — No cóż, panie kapitanie, chyba może pan startować. Proszę lecieć wyznaczoną trajektorią, a nie będzie pan miał żadnych problemów. Życzę czystej przestrzeni i szczęśliwego lądowania. I niech pan nie zapomni o mojej wiadomości – nazywam się Horntrimmer.

Kiedy *Cloud Queen* pędziła po trajektorii XXX-B-37, sumiennie wykonując wszystkie czynności wymagane przez zasady marsjańsko-jowiszowych władz, Bullard w kółko powracał w myślach do tej krótkiej rozmowy. Nie podobała mu się ona. Było w niej coś nieco złowieszczego. Dlaczego: „niesamowite”? Zachowanie Horntrimmera było co najmniej osobliwe. A jednak pozwolił, aby statek opuścił port, choć łatwo mógłby go zatrzymać. Jeśli nabrał wobec nich podejrzeń, znowu – dlaczego?

Bullard nie znał odpowiedzi na te pytania, ale mimo to niepokoiły go one. Spędzał wolne od służby godziny kręcąc się po statku lub siedząc w pomocniczej maszynowni, studiując wyposażenie. Wytężał głowę, szukając sposobu na zaimprowizowanie jakiejś metody obrony, gdyby do czegoś doszło, ale znalazł niewiele możliwości, na których mógłby oprzeć swoje nadzieje. Tak prawdę mówiąc, to żadnych, gdyż siłownia ledwie wystarczała do obsługi legalnych urządzeń pomocniczych statku, nie dając możliwości wyciśnięcia nawet kilkunastu dodatkowych kilowatów. Na pokładzie nie było też ani uncji materiału wybuchowego. Statek był naprawdę nieuzbrojony. Jeśli jego przykrywka zawiodła, wszystko

przepadło. Jedynym sposobem na przełamanie blokady było trzymanie się planu stworzonego przed opuszczeniem Luny.

Ten plan był odważny w swej prostocie, a dwie trzecie z niego zostało już zrealizowane. Pozostał tylko ostatni krok. Dokładnie dwieście godzin przed dotarciem do sfery patrolujących krążowników wroga, które tworzyły blokadę, *Cloud Queen* miała wysłać określony sygnał i powtarzać go, dopóki nie zostanie potwierdzony jego odbiór. Następnie miała wyjść w górę z płaszczyzny ekliptyki, aby zanurkować na Ziemię od północy, przez słabo patrolowany region. Na kilka godzin przed jej dotarciem do bariery doborowa eskadra telluriańskich ciężkich pancerników miała zaatakować pobliski odcinek blokady używając reszty pozostałego zgromadzonego na nich paliwa, dla stworzenia dywersji, tak aby *Cloud Queen* mogła się prześlizgnąć. Teoria była taka: krążowniki pędzące na spotkanie z telluriańskim fałszywym atakiem nie zatrzymają się aby sprawdzać pordzewiałą łajbę handlową, nawet gdyby ją wykryły. To właśnie na takim cienkim włosku zawisły nadzieje Ziemi.

Będąc nad asteroidami Bullard wysłał sygnał, ustawił deflektory na silny ciąg w górę i zaczął wzbijać się coraz wyżej. Po jakichś ośmiu godzinach, w radiu zaklekotały sygnały, przekazując ostre rozkazy ścigającego ich krążownika. Szybki, kallistiański *Folliot* dogonił *Cloud Queen* i zażądał, by wyłączyła ciąg i czekała. Twarz Bullarda była ściągnięta, a jej rysy głębokie i ostre, kiedy słuchał wystukiwanych słów, ale nie pozostawało mu nic innego, jak tylko zastosować się do nich. Wydał niezbędne rozkazy.

— Niech mnie wszyscy diabli — zawołał oficer dowodzący grupą pokładową, gdy otworzyły się wewnętrzne wrota śluzy — jeśli to nie mój stary przyjaciel, Wenusjanin! — To był ten sam Kallistianin, który dokonał ich inspekcji kiedy wylatywali. Ze wszystkich porów skóry ociekał sarkazmem. — I – ach, tak, żebym nie zapomniał – komodor Horntrimmer polecił mi przekazać, że pan Turnly zmarł trzy lata temu. Był jego teściem.

Kallistianin roześmiał się złośliwie. Następnie zwrócił się do drugiego oficera i grupy ludzi, którzy weszli z nim na pokład.

— Sprawdźcie, czy ci głupcy nie mają broni, a potem ustalcie wachty. Następnie możecie wyładować swoje bagaże i gdzieś się zagospodarować. Zabierzemy to pudło tym kursem i zatankujemy przy jego pomocy naszą własną flotę.

Popatrzył triumfalnie na przygnębionego Bullarda.

Kapitan Bullard i jego ludzie nie byli zamknięci, ale zostali zmuszeni do pełnienia swoich normalnych obowiązków, pod czujnym okiem załogi pryzowej. Któryś z dwójki oficerów był zawsze w sterówce, siedząc na fotelu kapitana przed głównym pulpitem ze sterami. Przy drzwiach stało dwóch uzbrojonych marynarzy nieprzyjaciela, gotowych do wykonania każdego rozkazu. Kallistianin, który przejął statek – komandor Tilsen – wyciągnął grubą księgę z zamykanymi na klucz okładkami i zaczął wysyłać długie wiadomości kodowe. *Folliot*, który przez cały czas unosił się dziesięć

lub dwanaście mil z tyłu, odleciał, wyrzucając za siebie długi język fioletowego ognia. *Cloud Queen* pozostała sama.

Bullard zmuszony był trzymać tę samą wachtę, co Tilsen, i musiał znosić nieustanny potok radosnych uwag, którymi tryskał Kallistianin. Chociaż udawał on, że nie został oszukany, lecz pozwolił statkowi lecieć dalej, doskonale wiedząc iż mogą go w każdej chwili przechwycić, Bullard wiedział że kłamie – starając się zachować twarz. Tilsen wieszczył z ogromną radością, że gdy tylko paliwo będzie rozładowane, Bullard zostanie przewieziony na Marsa i powieszony w hańbie jako szpieg, razem ze wszystkimi swoimi ludźmi.

W czasie pierwszego okresu odpoczynku Bullard leżał na koi, miotając się i denerwując, po raz setny analizując w wyobraźni każdy drobiazg na statku, który tak dobrze znał. Musi coś zrobić, choćby aby ostrzec Ziemię co do istniejącego stanu rzeczy. Ale nawet maksymalnie wytężając mózg, nie potrafił jednak wymyślić żadnego sposobu na zdobycie broni, za pomocą której mógłby wydrzeć ich nadzorcom kontrolę nad sytuacją. I wtedy, gdy po raz n-ty przeglądał w myślach schemat okablowania statku, przyszedł mu do głowy pomysł, tak gwałtownie i wyraźnie, jakby ktoś walnął w gong. Oczywiście, projektor na podczerwień! Była to energia – swego rodzaju; w końcu pięć milionów woltów, nawet jeśli natężenie prądu było niewielkie. Z pewnością da się z tym coś zrobić.

Gdy czas odpoczynku dobiegł końca, z radością pomaszerował do sterowni. Było kilka szczegółów konstrukcji statku, których nigdy nawet nie starał się zanotować w pamięci. Teraz nabrały szczególnego znaczenia.

Przez całą tę wachtę, za każdym razem kiedy tylko wyczuwał, że spojrzenia wartowników odsuwają się od niego, jego wzrok nieustannie wędrował w górę. Interesowało go dokładne umiejscowienie gniazda reflektora podczerwieni zamocowanego powyżej, na kadłubie. Było ono wyraźnie wyznaczone przez podwójny rząd nitów, jego środek znajdował się prawie bezpośrednio nad fotelem, w którym siedział Kallistianin Tilsen, rozwodzący się szeroko o torturach, dopuszczalnych przez marsjański kodeks, w przypadku niektórych rodzajów przestępstw. Bullard ziewnął, udając, że słucha. Jego umysł był zajęty mnożeniem i dodawaniem szacunkowych odległości między grupami nitów. Zanim wachta się zakończyła, wiedział już wszystko co było mu potrzebne, i pozostałą część czasu spędził na zapamiętywaniu zaobserwowanych faktów.

Podczas tego okresu odpoczynku, nie rzucał się i nie denerwował. Wiedział już dokładnie, co chce zrobić. Piętnaście minut po tym, jak zmiana udała się na spoczynek, Bullard popędził zaciemnionym korytarzem, kierując się do magazynku inżyniera. Z wyjątkiem posterunku w sterówce i jednego strażnika w pomieszczeniu generatora pomocniczego, statek nie był patrolowany. Ich ciemiężcy z pogardą odnosili się do swoich ofiar, wierząc, że nic nie mogą one zrobić.

Bullard zamknął za sobą drzwi do magazynka. Chwilę później ciężko pracował przy pomocy piłki do metalu, odcinając sześciostopowy miedziany pręt o calowej średnicy, wzięty z materiałów elektrycznych. Kiedy skończył, chwycił za pilnik i spiłował jeden jego koniec na skos,

starając się zrobić to pod kątem jak najbliższym czterdziestu pięciu stopniom. Po kilku minutach było gotowe, ponieważ metal nie był twardy.

Do tej pory wszystko szło świetnie, ale kiedy poszedł poszukać jakiegoś ciężkiego metalowego dysku, stwierdził, że tego czego potrzebował nie ma w magazynku. Wziął zaślepkę do otworu inspekcyjnego w silniku i przyjrzał się jej krytycznie. Była ona z platyny, miała cztery cale średnicy, ale była o wiele za gruba – nie nadawała się. Przez piętnaście minut grzebał w pojemnikach, ale wszystkie elementy o kształcie dysku były albo za szerokie, albo niewystarczająco szerokie, albo były zbudowane ze zbyt lekkich metali, takich jak stal lub brąz. Musiały być z materiału o wysokiej liczbie atomowej.

Gdy ogarnęła go ponowna fala zniechęcenia, pomyślał o kilku 100-Uranówkach, które wziął na Oberonie, dla wyrównania różnic w wartościach towarów, którymi handlował. Te masywne, trzycalowe monety były bite ze złota z dodatkiem odrobiny irydu. Pod względem kształtu, rozmiaru i materiału były dokładnie takie, jakie potrzebował. Zanim skończyła się kolejna wachta, starannie przylutował jedną z monet do skośnego końca długiego miedzianego pręta, wygładzając powierzchnię nachylonego dysku tak, by lśniła jak lustro. Postawił efekt swojej pracy w kącie, razem ze skrobakami do rur, i wrócił na swoją koję, bardzo zadowolony z wykonanego pierwszego kroku.

Wlekąca się w nieskończoność wachta, dobiegła wreszcie końca. Bullard odliczał sekundy po tym, jak został zluzowany, tak bardzo niecierpliwił się, by ruszyć dalej z zadaniem, które sobie wyznaczył. Po dziesięciu minutach nie działo się nic niepokojącego, więc wymknął się do magazynka. Jego pręt o dziwnym kształcie ciągle tam był, nietknięty. Wziął ze stojaka hełm kosmiczny i założył go na swój skafander. Zarzucił na ramię zestaw do lutowania, młot, parę kluczy, miedziany pręt ze złotą końcówką i skierował się do śluzy powietrznej.

Nikt nie słyszał, jak wychodził, ponieważ bardzo ostrożnie otwierał właz, a kadłub był tak dobrze izolowany, że gdy znalazł się na zewnątrz, nie było słychać odgłosu stukania jego butów. Podciągnął się prosto do reflektora i położył obok niego swoje narzędzia. Po kolei poodkręcał nakrętki mocujące do ramy soczewkę skupiającą emitera. Potem wyjął ją i zabrał się do pracy nad umieszczonymi za nią filtrami. Pół godziny później, dotarł do lampy próżniowej, którą rozbił jednym mocnym uderzeniem młota. Podważanie i wyciąganie skomplikowanych elementów grzejnych było ciężką i brudną robotą, a musiał uważać na ostre resztki lampy, ale w ciągu kolejnej godziny oczyścił lampę ze wszystkiego co w niej było. Leżał wsunięty w pusty cylinder o długości dziesięciu stóp i średnicy jarda. W pobliżu każdego z jego końców wisiały końcówki gotowych do podłączenia kabli.

Szybko przystawił pręt do podstawy tworzonej przez wewnętrzny koniec lampy i przylutował go w tym miejscu. Następnie podłączył go na górze do końca kabla. Zbudował katodę swojego urządzenia. Cofnął się do

otwartego końca obudowy i tam zamontował anodę. Kiedy skończył, założył z powrotem zewnętrzną obudowę, którą zdjął aby dostać się do środka, przykręcił ją szybko, a następnie zszedł na dół. Zegarek wskazywał, że ma jeszcze wolną godzinę. Miał więc mnóstwo czasu, by wyszeptać kilka słów instrukcji dla Sparksa, pod którego biurkiem znajdował się wciskany nogą włącznik reflektora.

Kiedy znów wrócili na wartę, Sparks kopnął nogą przycisk włączający reflektor, a Bullard zaczął ukradkowo obserwować. Wiedział, że zajmie to trochę czasu, ale nie wiedział, ile. Wiedział także, że jego praca powinna przynieść jakieś niezwykłe rezultaty, ale nie wiedział dokładnie, jakie. Ale trzysta miliamperów pompowanych w złoty dysk pod ciśnieniem pięciu milionów wolt, z pewnością da jakieś efekty.

Wachta ciągnęła się, wypełniona zwyczajowym potokiem „anegdotek" Tilsena. Pod koniec pierwszej godziny, strumień słów Kallistianina zaczął coraz częściej się rwać i zatrzymywać, a przerwy między seriami stawały się coraz dłuższe. Twarz mężczyzny zaczęła przyjmować zdziwiony, zraniony wyraz i kilka razy zdjął czapkę, pocierając sobie głowę. Wydawał się nie zauważać, że po ostatniej takiej pieszczocie głowy, na ramiona spadły mu garściami powyrywane włosy.

— Co, u diabła, jest nie tak z powietrzem? — wrzasnął nagle, wyskakując ze swojego fotela, a następnie opadając z powrotem na niego. — Och, jak mnie boli głowa!

Red Leary sprawdził wskaźniki i wyskandował ich odczyty. Wszystko było normalnie; system odświeżania powietrza działał idealnie. Wielki Kallistianin popatrzył na niego groźnie, nie potwierdzając, ale najwyraźniej akceptując to, co powiedział Red. Wrócił do swojej poprzedniej pozycji, lecz co chwila schylał się, aby złapać się za nogę. Niebawem zawołał jednego z kallistiańskich marynarzy, który stał na straży z tyłu pomieszczenia. Kiedy marynarz podszedł do niego, pochylił się do przodu i oderwał coś wyimaginowanego, od uda.

— Weź tego cholernego stwora i załatw go — polecił pełnym jadu głosem. — Przeklęty dziki kot!

Potem osunął się trochę w fotelu i opuścił brodę na piersi, zamyślony. Bullard uważnie zmierzył wzrokiem całą jego postać, zastanawiając się, czy przechylenie głowy nie wysunęło jej ze stożka niewidocznego promieniowania, które płynęło z góry. Ale najwyraźniej tak nie było, gdyż pod koniec kolejnego kwadransa Tilsen nagle wyprostował się, a oczy prawie wyszły mu z głowy.

— Wstecz! Wstecz! Cała wstecz! Przed nami lodowce!

Wrzeszczał szaleńczo i szarpał znajdującym się przed nim pulpitem. Drżąca dłoń spoczęła na oszklonej tarczy zegara, a gładki kryształ zdawał się go uspokajać. Przestał krzyczeć i siedział, drżąc na całym ciele, kropelki zimnego potu spływały mu po czole i rozpryskiwały się na pulpicie. Jedno z uszu gwałtownie mu zadrgało, trzepocząc jak liść na

wietrze. Dwu kallistiańskich marynarzy podeszło bliżej i patrzyło na niego z przerażeniem, szeroko otwartymi oczami.

— Czy mam wezwać pańskiego zmiennika, panie kapitanie? — zapytał nieśmiało jeden z nich.

Tilsen był twardym człowiekiem, nawet dla siebie samego. Obrócił się w fotelu, patrząc na marynarza chłodno i złośliwie.

— A więc, w tej dolinie węże potrafią mówić? — wysyczał, zsuwając się z fotela i przykucając, jakby chciał rzucić się na nieszczęsnego człowieka. Jego dłoń powędrowała na kolbę pistoletu energetycznego, podczas gdy przerażony marynarz cofnął się dalej od niego. Jak błyskawica wyrwał broń i ruszył do szalonego działania. Pierwszego marynarza zabił wyładowaniem, które spaliło mu połowę klatki piersiowej, a zanim drugi ze strażników zdołał zmusić się do strzału we własnego oficera, wypalił też do niego. Następnie, z potężnym przekleństwem, rzucił pistoletem w ich ciała i stał, kołysząc się w miejscu, jak pijany.

Bullard spoglądał z respektem, zastanawiając się, co jeszcze przyniesie jego dzieło.

Do czasu gdy drugi z oficerów pojawił się w wejściu, z tłoczącymi się za jego plecami pozostałymi marynarzami, Tilsen zdawał się stracić zainteresowanie otoczeniem. Zaczął się otrzepywać, z początku powoli, jakby chciał się pozbyć wyimaginowanych mrówek, a potem bardziej gwałtownie, aż w następnej chwili szarpał swoje ubranie, jak gdyby się zapaliło. Potem wydał z siebie rozdzierający uszy krzyk i upadł na pokład w konwulsjach, tarzając się, kopiąc i gryząc. Tam już jego rodacy obezwładnili go i założyli mu kajdanki na nadgarstki i kostki.

— Co mu zrobiłeś? — z wściekłością zaczął wypytywać Bullarda oficer.

Bullard wzruszył ramionami.

— On oszalał – to wszystko. Co miałem na to poradzić?

Oficer popatrzył na bezradną, wijącą się postać, u swych stóp. Nawet przy niezbyt dokładnym oglądzie, nie mógł nie zauważyć potwornego stanu głowy. Nie tylko powyrywanych z góry i z tyłu włosów, ale także skóry i fragmentów powierzchowni ciała. Wyglądało to tak, jakby Tilsena poparzył jakiś tajemniczy płomień. Jednak żadna ze znanych mu broni nie zadawała takich ran – blaster wypaliłby całą czaszkę.

Uważnie zbadał pomieszczenie, a nawet posunął się do wywołania zdjęć z aparatów ustawionych pod różnymi kątami wokół fotela kapitana, ale Sparks kopnął wyłącznik promiennika już dużo wcześniej – w chwili, gdy szalejący Kallistianin wyskoczył z fotela. Wywołane zdjęcia niczego nie pokazały.

— To cholernie zabawne — mruknął kallistiański porucznik, przyglądając się im. — To musiało być twarde promieniowanie – nic innego nie mogło spowodować tych poparzeń.

Zmarszczył brwi i rzucił puste zdjęcia w róg pomieszczenia. Może w końcu jego dowódca po prostu był nieco szalony, powiedział sobie. Były takie chwile…

— Przejmuję dowodzenie — warknął, spoglądając na obserwujących to wszystko Ziemian.

A potem sam usiadł w fotelu kapitana.

— To już cała historia — zakończył Bullard trzy dni później. — Zrobiliśmy to samo jego pomocnikowi. Potem załatwienie marynarzy było już łatwe. Przywieźliśmy dwóch żywych.

Stał przed biurkiem admirała, dowódcy bazy Luna. Na zewnątrz, w ogromnym kraterze, bezpiecznie spoczywał poobijany *Cloud Queenlay*, ogromny pancernik, z obu stron przyjmujący cenne paliwo.

— Dzięki bitwie, którą zgodnie z planem stoczyliście, na naszej drodze znajdował się tylko jeden krążownik wroga i bez trudu go oszukaliśmy, żeby nas przepuścił. Wie pan, mieliśmy marsjańską książkę kodową. Wysłaliśmy mu potrójne XXX , co w ich kodzie oznacza: „W pilnej, poufnej misji najwyższej wagi; nie przeszkadzać".

— Dobra robota — pogratulował admirał. — Dopilnuję, żeby otrzymał pan co najmniej Celestial Cross i awans. Ale jak…

— Promieniowanie gamma — wyjaśnił Bullard. — Wiedziałem, że bez trudu wykończy każdy żywy organizm, więc jedynym problemem, było stworzenie gigantycznej maszyny rentgenowskiej, z której mogłem skierować je na nasze ptaszki. Zdawałem sobie sprawę, że nic nie będą podejrzewać, dopóki nie będzie za późno. Człowiek nie czuje promieniowania, wie pan. Potrzebowałem do tego ogromnej lampy próżniowej, katody z odpowiedniego materiału i odrobiny napięcia. Po wyjściu na zewnątrz kadłuba bez trudu przygotowałem taki emiter; katodę zaimprowizowałem z materiałów na pokładzie; napięcie już tam miałem, czekało tylko na pstryknięcie przełącznikiem. Fakt, że promieniowanie gamma musiało przejść przez cal stali irydowej, nie zmniejszyło jego zabójczych właściwości. Prawdę mówiąc wydaje mi się, że wtórna radiacja z napromieniowanego żelaza spowodowała prawie takie same uszkodzenia, co bezpośrednia emisja z tego kawałka złota o wartości 100 uranów. W każdym razie wystarczyło to, żeby uszkodzić im mózgi. Zanim ich reakcja stała się na tyle silna, aby zrozumieli, że coś jest nie tak, uszkodzenia były już zbyt duże, by byli w stanie dodać dwa do dwóch i coś z tego wszystkiego zrozumieć.

— Coś w rodzaju domowej roboty rury Coolidge'a, co? — zauważył admirał.

— Tak jakby — uśmiechnął się Bullard, myśląc o paskudnym bajzlu, jaki zrobił w doskonale działającym wenusjańskim reflektorze podczerwieni. — Ale zadziałało.

KONIEC